



JULIA HARTWIG

E pur si muove

Niektórzy lubią skarżyć się na zastój w kulturze. Chyba jednak coś się ruszyło, bo ostatnio nawet ci, co rzadko i z oporem wyprawiają się na kulturalne łowy, ulegli. Zbyt duży był napór dobiegających dobrych wieści o wydarzeniach w salach wystawowych i koncertowych, a także w teatrach. Również na półkach księgarskich ukazały się książki, które sprawiły, że nawet najbardziej niechętni sięgnęli po portfele. Liczba moich własnych „wyjść” wieczornych osiągnęła w ciągu dwóch ostatnich tygodni poziom statystyczny przewidziany na miesiące.

Wyznaję zresztą, że na przykład „Burzę” Szekspira wystawioną w teatrze „Rozmaitości” przez Krzysztofa Warlikowskiego obejrzałam właściwie dzięki szczęśliwemu przypadkowi. Kupiła mi na nią bilet przyjaciółka z Paryża, która za każdym swoim przyjazdem do Warszawy chłonie bez umiaru najciekawsze wydarzenia kulturalne, jakby zabezpieczała się z góry przed zagłodzeniem w jednym z najbardziej znanych z aktywności kulturalnej miast świata, jakim jest wciąż jeszcze Paryż. Oczywiście fama otaczająca przedstawienie „Burzy” dotarła do mnie zarówno z doniesień prasowych, jak i z ustnych opinii. Kiedy jednak weszłam już do teatru, zaskoczyła mnie naelektryzowana atmosfera panująca na widowni. Również i ja czekałam na to przedstawienie w niecodziennym nastroju, jest to bowiem jedna z moich ulubionych sztuk Szekspira, której klimat działa na mnie z niemal halucynacyjną siłą.

Tak, podziwiam inwencję Warlikowskiego i konsekwencję, z jaką swój zamiar przeprowadził. Ale moja dusza nie zakosztowała słodczy, jakiej mogła oczekiwać. Racjonalizacja „Burzy”, sciszony i jakby monotonicznie prowadzony na scenie dyskurs pozbawiły mnie rozkoszy, jaką daje już w lekturze uwodząca wyobraźnię baśniowość „Burzy”. „Uwspółcześnienie” pewnych elementów — warkot samolotu, fotele lotnicze, na których siedzą ocaleni z katastrofy przybysze, oczywiście zaskakują widza i nawet bez trudu dają się zaakceptować, ale nie mogą wynagrodzić utraty naturalnej scenerii, jaką podsuwa tekst Szekspira, choć — zgoda — sama już scenografia u Warlikowskiego zaciekawia i nakłania nas do spojrzenia na tekst w innym świetle. Zasugerowana z pewnością przez samego pomysłodawcę przedstawienia koncepcja postaci Prospera odbiera jego

wypowiedziom dramatyzm, staje się rezonerska. I choć rozumiem, że ów dramatyzm ma być niejako uwewnętrzniony, to jednak pozbawia to aktora szansy „wygrania” jego roli. Nasuwa się przypuszczenie, że taki mógł być właśnie powód wycofania się z tej roli Janusza Gajosa, o czym mówiło się w mieście. Konkluzja: przyznaję, że Warlikowski mnie zadziwił, ale zadziwił — to nie jest to samo, co zachwycił.

I teraz spotyka mnie niespodzianka największa: realizacja „mojej Burzy” dokonuje się gdzie indziej i w nieprzewidzianych dla mnie okolicznościach. Na małej scenie Teatru Narodowego. Na domiar ta tak bardzo szekspirowska „Burza” napisana jest wcale nie przez Szekspira, lecz przez znakomitego poetę angloamerykańskiego, Wystana Hugh Audena, i nosi tytuł „Morze i zwierciadło” — komentarz do „Burzy” Szekspira. Kiedy czyta się tekst tego utworu (który ukazał się w wydaniu książkowym, w świetnym przekładzie Barańczaka, niemal jednocześnie z premierą), trudno wprost uwierzyć, że można wystawić go na scenie; choćby ze względu na prozatorski, wielostronicowy monolog Kalibana i ujęte w strofy, również niecodziennej długości, wystąpienie Prospera, nie mówiąc już o braku jakichkolwiek sugestii inscenizacyjnych, które pochodziłyby od autora tekstu. Grzegorzewski dokonał nie tylko cudu unaocznienia tego tekstu, ale nadał mu charakter feerii pełnej fantazji i ruchu, w której cały zespół odnajduje swobodę udzielającą się widzowi. A to, co pokazali nam Trela w roli Prospera i Radziwiłowicz jako Kaliban, budzi — co tu ukrywać — po prostu zachwyt.

Rozwiodłam się nad dwoma spektaklami teatralnymi, których obejrzenie zalecam najgoręcej. Taka współgra dwóch scen, całkowicie odmiennych, daje wyobrażenie o skali naszego teatru, który wyraźnie wraca dziś do formy, do nowej formy, po latach melancholijnej przerwy.

Prowadzę jednak dalej mój przegląd rozbudzonej kulturalnie Warszawy i przenoszę się z kolei na sale wystawowe. Zamknięto już, niestety, w „Zachęcie” ekspozycję dzieł Louise Bourgeois, 92-letniej Francuzki mieszkającej w Stanach Zjednoczonych. Wydarzenie to poprzedziła dziwnie skandalizująca opinia, z naddatkiem feministycznych zawłaszczeń, zupełnie, jak się okazało, nieuzasadnionych. Zgodzić się co prawda trzeba, że Louise Bourgeois jest naprawdę kobietą, a na domiar kobietą niezwykle uzdolnioną i wielką artystką, która z niezrównaną swobodą i śmiałością porusza się w różnych gatunkach sztuki, ale trudno na jej wystawie znaleźć coś skandalicznego. Jej wykonane piórką rysunki to najczęściej portreciki naśladujące rysunki dzieci, symetryczne zaś układanki motywów abstrakcyjnych, bezpretensjonalne i jakby mimochodem wykonane, przypominają „mazanki”, jakimi ozdabiamy stronicę papieru podczas nudnych posiedzeń lub wykładów. Rzeźby Louise Bourgeois, z brązu, stali i marmuru, wykonane są z wielkim poczuciem formy. Wystawie

przewodzi kolosalnej wielkości, zawieszony u sufitu metalowy pajak, pilnujący przezroczystego jaja, w którym znajdują się resztki ubrań i przedmiotów, jak gdyby ocalonych przed niepamięcią. Znalazł się również na tej wystawie żartobliwy kącik „konceptualny”, w postaci wieszaka, na którym zawieszono kilka powiewnych halek. Całość w bardzo surrealistycznym stylu, wspaniale odmłodzoną przez sędziwą artystkę.

Z pewnością bardziej „gorsząca”, a na pewno bardziej śmiała jest zaprezentowana w Centrum Sztuki Współczesnej wystawa zdjęć amerykańskiej artystki Nan Goldin nosząca tytuł „Devil's Playground”, Igrzysko diabła. Tytuł wystawy o tyle zadziwia, że artystka, która zapełniła niezliczone sale w Zamku Ujazdowskim ogromnymi fotogramami przedstawiającymi ludzi nagich we wszelkich możliwych pozycjach miłosnych, łącząc partnerów parami, niezależnie od ich płci, wyraziła swoje niezadowolenie, kiedy dowiedziała się, że wstęp na wystawę mają tylko dorośli. Słowo „diabeł” ma więc tu raczej funkcję ozdobną; artystka nie ukazuje swoich prac dla jakiejś nauki moralnej czy obyczajowej, ale z pozycji artysty dopuszczonego do krańcowo intymnych sytuacji. Fotogramy są zresztą najwyższej jakości technicznej, obiektywność zaś ich podania zmniejsza szok, jakiego z pewnością doznajemy na tej wystawie, bo śmiałość jej jest bez precedensu. I choć nie ma w tych zdjęciach nic z pornografii, to piękno, jakie prezentuje nam Nan Goldin, ma w sobie z pewnością coś szatańskiego.

Tak się złożyło, że raz jeszcze — po wizycie w Centrum Sztuki Współczesnej — obcować możemy z Ameryką w Muzeum Narodowym, gdzie znalazły się wybrane obrazy dawnych mistrzów, ze zbiorów amerykańskich i polskich. Wystawa nie jest, niestety, dostatecznie zareklamowana, ale mogę zaręczyć amatorom malarstwa, że warto ją odwiedzić. Znajdujemy tam bowiem obrazy takich mistrzów, jak Goya, Chardin, Greuze, Poussin, Fragonard czy Claude Lorrain. Obrazy te pochodzą częściowo z muzeów polskich: z Muzeum Narodowego, z pałaców wilanowskiego i nieborowskiego, dzieła zaś przesłane przez Amerykanów pochodzą z Muzeum w Milwaukee, z San Francisco i Houston.

Można by już zamknąć ten katalog kulturalnych wydarzeń, ale pozostaje jeszcze muzyka. Nie można zapomnieć o wspaniałym recitalu, jakim obdarował nas w warszawskiej Filharmonii wspaniały pianista i dyrygent Murray Perahia z orkiestrą Academy of Saint-Martin-In-the-Fields.

Trzeba też wspomnieć o znakomitych książkach, jakie się ostatnio ukazały. Myślę zwłaszcza o przekładach utworów Hölderlina w przekładzie Antoniego Libery i o „Złotym Pelikanie” Stefana Chwina. Nie wracam już oczywiście do dwu wystaw grafiki Pabla Picassa, w galerii Teatru Narodowego i w Muzeum Narodowym.

Proszę więc nie mówić, że nic się nie rusza. *E pur si muove.*

Julia Hartwig